

Biuro komisarza nowojorskiej policji znajdowało się wysoko ponad miastem, a jego ogromne okna oferowały idealny widok na Nowy Jork w szczycie świątecznego sezonu. Z tej wysokości światła Times Square migotały słabo w oddali, a ulice poniżej tętniły ruchem – żółte taksówki, lśniąca witryna sklepowe i tłumy ludzi opatulonych przed zimowym grudniowym powietrzem. W środku biuro było ciepłe i ciche, poza miarowym tykaniem zabytkowego zegara na półce z książkami i delikatnym szumem życia za zamkniętymi drzwiami.

Komisarz Henry Morrison siedział za swoim ogromnym biurkiem z mahoniem, kończąc resztkę kawy – słabej namiastki tego, czego naprawdę pragnął. Morrison był mężczyzną po pięćdziesiątce, którego niegdyś wysportowana sylwetka zaczynała ustępować wiekowi i stresowi. Jego elegancki, szary garnitur nie był w stanie ukryć drżenia rąk czy zmęczenia wrytego na twarzy. Człowiek nawyków i kompromisów, Morrison dawno nauczył się, jak grać w tę grę, odwracać wzrok, kiedy trzeba i utrzymywać swój departament w ruchu.

Tę cichą, przewidywalną rutynę przerwało uchylenie drzwi przez jego asystentkę.

– Panie komisarzu, jest tu... jakiś mężczyzna, który chce się z panem zobaczyć – powiedziała niepewnie.
– Twierdzi, że to pilne. Nie chce podać powodu.

Morrison zmarszczył brwi, zerkając na zegarek.

– Niech załatwi to odpowiednimi kanałami. Nie przyjmuję nikogo bez umówionego spotkania.

Zanim asystentka zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szerzej, a wysoki mężczyzna wszedł do środka bez zaproszenia. Był nienagannie ubrany w dopasowany, grafitowy garnitur, którego elegancja sprawiała, że strój Morrisona wydawał się przy nim skromny. Jego czarne jak smoła włosy były zaczesane do tyłu, a blade rysy twarzy wydawały się ostre – niemal nienaturalnie gładkie, jakby nie dotknął ich upływ czasu. Jednak najbardziej uderzającą cechą mężczyzny był jego uśmiech. Był czarujący, pewny siebie i... niepokojący.

– Dobry wieczór, komisarzu Morrison – powiedział mężczyzna głosem gładkim jak jedwab. – Alexander Caulfield. Jestem nowym prokuratorem generalnym.

Morrison wstał z miejsca, marszcząc brwi.

– Prokuratorem generalnym? Nie zostałem poinformowany...

Caulfield uniósł rękę, a jego wyraz twarzy złagodniał, jakby chciał go uspokoić.

– Zapewniam pana, komisarzu, ta wizyta jest... wyjątkowa. Opuśćmy formalności, dobrze? – Wskazał na skórzany fotel naprzeciwko biurka Morrisona, po czym zajął go, zanim komisarz zdążył zaprotestować.

Morrison pozostał na stojąco, a jego irytacja rosła.

– Nie wiem, za kogo się pan uważa, panie Caulfield, ale istnieje oficjalna procedura na tego rodzaju...

Uśmiech Caulfielda stał się szerszy, a Morrison przerwał, jakby coś w pomieszczeniu nagle się zmieniło. Dało się słyszeć cichy dźwięk – ledwie słyszalny – jak szum wiatru. I wtedy Morrison zamrugał. Na biurku przed nim pojawiła się butelka bursztynowego płynu – jego ulubionej whisky – oraz dwie kryształowe szklanki, już do połowy napełnione.

Morrison zamarł, a jego gardło ścisnęło się z niedowierzania.

– Jak, do diabła, to się...?

– Wygląda pan na kogoś, kto docenia dobrą whisky – powiedział Caulfield niedbale, wprawną ręką mieszając zawartość swojej szklanki. – Proszę, niech pan usiądzie. Porozmawiajmy.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Morrison usiadł na swoim krześle. Czuł, jak zimny pot zbiera się na karku. Jego wzrok przeskakiwał między butelką a mężczyzną siedzącym naprzeciwko.

– Co to ma znaczyć?

– To szansa – odparł Caulfield, uśmiechając się lekko.

Morrison wpatrywał się w niego.

– Czego pan chce?

Caulfield odchylił się na oparcie fotela, a jego postura zmieniła się z serdecznej na rzeczową.

– Rząd federalny wydał dyrektywę, komisarzu. Chodzi o delikatną sprawę wymagającą natychmiastowych działań ze strony NYPD.

– Delikatną? – Morrison zmrużył oczy. – Będę potrzebował więcej szczegółów.

Caulfield oparł ręce na podłokietnikach i lekko pochylił się do przodu.

– Potrzebujemy, aby pański departament rozpoczął operację na terenie całego miasta. Poszukiwanie i zatrzymanie określonych osób.

– Jakich osób? – Morrison zapytał niskim, podejrzliwym tonem.

Na twarzy Caulfielda malował się wyraz niemal przyjemny, jakby była to najprostsza sprawa na świecie.

– Dzieci nieudokumentowanych imigrantów. Noworodków, konkretnie.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Morrison wpatrywał się w niego, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– Słucham?

Uśmiech Caulfielda nie zniknął.

– Szczegóły są dla pana nieistotne, komisarzu. Liczy się jedynie to, by operacja przebiegła sprawnie. Po zatrzymaniu dzieci zostaną przekazane w ręce władz federalnych celem natychmiastowej deportacji.

Morrison gwałtownie wstał z miejsca, a jego krzesło z głośnym zgrzytem przesunęło się po podłodze.

– To szaleństwo. Nie może pan oczekiwać, że...

Nagle rozległ się cichy huk. Morrison spojrział w dół, a żołądek mu ścisnęło. Na biurku, tuż przed nim, pojawiła się czarna skórzana teczka. Leżała tak, jakby była tam od zawsze. Zamek był rozpięty, a wieko lekko uchylone, ujawniając stosy świeżych banknotów w środku.

Morrisonowi zaschło w gardle.

– Co to ma znaczyć? – wyszeptał.

– Gest wdzięczności – odparł Caulfield gładko. – Za pańską współpracę. Proszę to uznać za premię za lata oddanej służby.

Morrison wpatrywał się w pieniądze, czując, jak robi mu się niedobrze.

– A jeśli odmówię?

W oczach Caulfielda pojawił się mrok, choć uśmiech wciąż nie znikął z jego twarzy.

– Henry, Henry... jest pan zbyt mądry, żeby to zrobić. – Jego głos obniżył się do szeptu. – Na przykład pańskie zamiłowanie do alkoholu. Udało się panu ukryć to przed opinią publiczną, ale co by powiedziała prasa, gdyby to wyszło na jaw? Albo pański wydział?

Morrison spojrział na niego ostro.

– Blefuje pan.

– Nigdy nie blefuję – powiedział Caulfield cicho, a jego słowa niosły ze sobą lodowaty ciężar. – A to dopiero początek, komisarzu. Może omówimy twoje nocne wizyty w tym klubie na Lower East Side? Albo teczkę, którą mam na temat twojego ostatniego „wewnętrznego śledztwa”, które nigdy nie dotarło na biurko burmistrza?

Morrison osunął się na fotel, blady jak ściana.

– Skąd... skąd ty to wszystko wiesz?

Caulfield powoli podniósł się z krzesła, jakby delektował się chwilą.

– Wiem wszystko, Henry. Lepiej, żebyś o tym pamiętał. – Wziął do ręki swoją nietkniętą szklankę whiskey i uniósł ją w udawanym toaście. – Za sprawiedliwość.

Morrison nie mógł oderwać od niego wzroku.

– A te dzieci? Co mamy z nimi zrobić?

– Rola twojego wydziału jest prosta: znajdźcie je. Zatrzymajcie. Resztą zajmą się federalni. – Caulfield postawił swoją nietkniętą szklankę na biurku z delikatnym brzękiem. – Wkrótce dostaniesz swoje rozkazy. Liczę, że podejmiesz właściwą decyzję.

Morrison z trudem przełknął ślinę. Gardło miał suche jak papier ścierny.

– A jeśli nie?

Caulfield znów się uśmiechnął, lecz tym razem w jego uśmiechu nie było nic ludzkiego.

– Zrobisz to, komisarzu. Nie masz wyboru.

Bez kolejnego słowa odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Jego kroki były nienaturalnie ciche. Przy drzwiach zatrzymał się, spoglądając przez ramię.

– Ach, i Henry... Wesołych Świąt.

Drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem, pozostawiając Morrisona samego w duszącej ciszy swojego gabinetu. Za oknem miasto lśniło świątecznym blaskiem, nieświadome burzy, która właśnie się rozpoczęła.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

AlexPretnicki, dodano 07.02.2025 18:06

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.